

KATHRYN HARRISON

TYSIĄC  
DRZEWEK  
POMARAŃCZOWYCH

FASCYNUJĄCA, ZAPIERAJĄCA DECH OPOWIEŚĆ



— **S***cissoque corde, ut dixi, anima mea fuit ab hac carne sounta.* – Mówił płynnie, łagodnie. Językiem dotknął mojej powieki.

Czy to możliwe, że byłam w jego ramionach tak krótko? Sto razy popołudniami, nie więcej. Z początku przez kilka godzin skradzionych co tydzień i wreszcie nocami pod osłoną ciemności. Każdy uścisk ekscytował i uświęcał przez wyzwanie, jakie podejmowaliśmy, oddając się miłości.

– *Scissoque corde...* – powtórzyłam.

Położył dłoń na moich ustach.

– Nie – powiedział. – Przetłumacz. – Jego palce pachniały kadzidłem. Mężczyzna, który uczył mnie czytać, który zlizywał słowa z moich powiek i wydierał gramatykę z mego gardła, był księdzem.

Kiedy mówił, słyszałam – zdawało mi się, że słyszę – skrzypiący na zewnątrz wóz. Lecz któż by tam był na dworze o tej porze? Przeniosłam pusty wzrok na okno. Nasłuchiwałam, ale nie udało mi się wychwycić charakterystycznego turkotu. Ludzie opowiadali, że urzędnicy Inkwizycji obwiązują szmatami obręcze kół, aby hałas nie zdradził ich przybycia. Podług powszechnej opinii byli na tyle przezorni, aby obwijać również kopyta i przecinać koniom struny głosowe. Zwierzęta nie rżały i nie parślały, nie wydawały żadnego odgłosu, który mógłby stać się ostrzeżeniem. Inkwizycja zwykle rozpoczynała się w ciszy.

– Posłuchaj! – powiedziałam.

Płomyk jedynej świecy zakołysał się w jego ciemnych oczach.

– Niczego nie słyszę – odrzekł. Być może niczego nie słyszał, zbyt głośno bowiem biło mu serce i zagłuszało zwiastuny niebezpieczeństwa.

– Zdmuchnij świecę – szepnęłam. – W ubiegłym tygodniu przyjechali do Rubeny.

Przybyli do sąsiedniego miasteczka po garbarza. Pod drzwiami do jego domu pozostawili tylko buty, aby ustrzec jego żonę i synów przed popełnieniem grzechu nadziei – nadziei złudnej – że ich męża i ojca spotkał jakiś inny, łaskawszy los, że na przykład odszedł z kochanką albo uciekł przed bandytami. Bez tego jakże ewidentnego znaku mieszkańcy Rubeny mogliby niemądrze tłumaczyć zniknięcie garbarza zgubnym wpływem namiętności, czynami złoczyńców albo działaniem czarnej magii. Skóra, nad którą rzemieślnik pracował, nadal leżała na stole, podobnie jak nóż, zmatowiały i ubrudzony kawałeczkami zeszkobanego mięsa.

Cóż takiego uczynił ów garbarz, że skierował na siebie uwagę Świętego Oficjum? Rzekomo regularnie co sobota zmieniał bieliznę. Ktoś podobno widział, że w któreś święto nie chciał jeść potrawy z wieprzowiny. Najwidoczniej – o czym ktoś doniósł do Świętego Oficjum – był ukrywającym się Żydem.

– Proszę – powiedziałam. Zdusił płomyk palcami.

– *Scissoque corde, Francisco.*

Mrok wypełnił się westchnieniami. Czyimi? Czy to my wdychaliśmy? Czyżbym ja wdychała?

Zaczęłam się zastanawiać nad koniugacją czasownika. Mówiłam powoli, ale nawet nie zająknęłam się w tłumaczeniu. Talent do języków miał się później obrócić przeciwko mnie, ponieważ biegłość w tej dziedzinie jest uważana za dowód posługiwania się diabelskimi mocami.

– Jako już rzekłam, serce mi pękło i uleciała dusza z mego ciała – przetłumaczyłam.

– Dobrze – powiedział. – *Bonissimus*. Wspaniale. – Wymawiał słowa bezpośrednio w moje otwarte dłoń. Dłonie, które nadal płonęły od pocałunków i nad którymi panowało pożądanie.

– Któż to powiedział?

– Święta Katarzyna ze Sieny.

– Kiedy umarła święta Katarzyna?

– Wcale nie umarła. Nie umarła nigdy.

– Kiedy przyszła na świat?

– W roku Pańskim 1347.

– A kiedy ty się urodziłaś, Francisco de Luarca? – Oddychał płytko i szybko. Dzielił słowa na sylaby: Fran-cis-co. Leżeliśmy na podłodze pod stołem, na którym tego popołudnia czytaliśmy *Legendę* i *Acta Sanctorum*, opowieści o życiu świętej Katarzyny ze Sieny, spisane przed ponad trzystu laty przez Raymonda z Capui, jej spowiednika.

– Nie urodziłam się – odrzekłam.

– Kiedy się urodziłaś, Francisco?

– Nie urodziłam się jeszcze.

Czuję pieczenie. Ale nie od rozgrzanego węgla, nie od razów pokrzywą, nie od wrzącej wody. To nie jest zjawisko zmysłowe. Jakże byłoby przyjemnie, gdyby ciało mogło się na to otworzyć, potrafiło odebrać doznania inne niż dotyk.

A ciało oczywiście jest w stanie poznawać – ciało przyswaja wszystko. Krew zasila umysł, ćwiczą się kości, uczy się każdy kawałek skóry. Jedynymi prawdami godnymi poznania – one tylko zapisują się w naszej pamięci – są te, których uczymy się za pośrednictwem naszych ciał.

W którym miejscu zaczęło się pieczenie? Tam, gdzie po raz pierwszy dotknął mnie językiem. Tak jest, właśnie tam. Dlaczego nie tam, i to bez zwłoki? Nie wahałam się rozchylić nóg przed jego językiem. Nie mieliśmy czasu do trwonienia na bardziej skromne pocałunki. W istocie nie miało najmniejszego znaczenia, gdzie zaczął. Zdawało mi się wówczas, że dotyka mnie

wszędzie jednocześnie. Paliły mnie stopy, płomień sięgały pomiędzy moje palce w jego włosach.

Ze wszystkich sił starałam się zachowywać spokojnie w trakcie lekcji, której udzielał mi jego język; jego dotknięcia następowały po rozmyślnych, rozpalających przerwach. Mój nauczyciel był zegarem kpiącym sobie z czasu.

Oczywiście wyobraźni widziałam wyłącznie niebo. Mimo że było późno, a pokój tonął w ciemności, leżałam na plecach i podziwiałam jasny dzień, dzień zalany światłem. Poczułam na sobie dotyk i w tym samym momencie ujrzałam prawie niewidoczną, cieniutką jedwabną nić rozwieszoną między gałęziami, połyskującą i kołyszącą się na wietrze. Dlaczego nie pękała? Ledwie o to zapytałam, pyk, przędza uleciała. To ja uleciałam. Poddałam się i uleciałam.

Odsunął się ode mnie.

– Kiedy się urodziłaś?

Westchnęłam spazmatycznie.

– Teraz – odrzekłam. Właśnie... w tej chwili... przychodzę na świat.

Dotknął mnie: brzucha, ramion, twarzy. Ja dotykałam jego. Czy byliśmy tam oboje? Czy on tam był? Czy byłam ja?

– *Bonissimus*. Rozumiem – powiedział. – Oto właśnie teraz przychodzisz na świat.

Wokół nas wzdychała noc. Wokół nas, wspólnie z nami, przez nas na wskroś. Jego usta wydawały się bardziej pełne, kiedy ich nie widziałam, kiedy próbowałam poznać je przez dotyk. Policzyłam w ciemności jego zęby, wsunęłam palec w miękka, wilgotną studnię pod jego językiem. Przyciągnęłam go do siebie. I w siebie.

\* \* \*

– Och, proszę, błagam. – Pręzę się w ich stronę, wyginam ciało w łuk, próbuję oderwać kręgosłup od kozła, do którego

mocno mnie przywiązali. – Proszę. Nie powstrzymujcie się. Zabijcie mnie. Przebijcie mi serce. Błagam.

Wszystko odbywa się przy świetle. Przy jasnym świetle. Stoją blisko. Kiedy zaciągają więzy, brzegi ich długich habitów zamiatają podłogę. Spod kapturów nie widać twarzy. Nie udaje mi się dostrzec niczego poza przypadkowym błyskiem światła w powilgotniałych oczach moich prześladowców.

Mają na sobie habitury i kaptury, które pozwalają im zachować anonimowość, wykonane z najprzedniejszego, lśniącego jedwabiu. Jakże pięknego jedwabiu, jakże podobnego do tego z moich dziecięcych marzeń. Pragnę go dotknąć. Rozmyślałam, jaki byłby w dotyku.

Habity są czarne. Owa czerń w blasku ognia zdaje się mieć wieloma kolorami: czerwienią, zielenią i purpurą, wszystkimi odcieniami. Większość kapturów jest biała, nieliczne z nich – czerwone. Władzę oznaczają czerwone kaptury, białe to posłuszeństwo. Jeden z tych ludzi, tylko jeden, zadaje pytania. Jest szefem tego więzienia. Nosi purpurowy kaptur.

Oczywiście niczego nie robią w ciemności. Potrzebują światła, aby widzieć, potrzebują światła do zapisywania moich wyznań. Ale mogę zamknąć oczy. Przecież wcale nie muszę być tutaj z nimi.

*Scindite cor meum.* Rozszarpacie mi serce.

Zadziwiam ich siłą ziemskiego uporu. Moje ciało nie chce się poddać. Wpadają w gniew, gdyż uparcie trzyma się życia. Interpretują to jako objaw skrajnego zuchwalstwa. Martwią się, niepokoją. Bo jak wytłumaczyć, że ja, istota drobna i krucha, mogę przeżyć to wszystko bez pomocy jakiejś nadprzyrodzonej – boskiej lub diabelskiej – siły.

Zaczynamy od kozła; zazwyczaj zaczynamy od kozła. Najpierw jeden z białych kapturów skuwa kajdanami moje kostki i nadgarstki, a potem za pomocą korby naciąga ciało, póki nie wypręży się ono mocno niczym struna harfy. Drugi zatyka mi

nozdrza woskiem. Woskiem, który zawczasu ugniół tak, aby się rozgrzał i stał odpowiednio plastyczny, ciepły i okropny jak palec oprawcy. Kiedy nos mam już zaklejony, wciska mi lejek między zęby i z niewielkiej wysokości wlewa powoli wodę do moich wnętrzości. Przełykam, dławię się, duszę.

Ponieważ nie chcą mnie zgładzić, póki nie usłyszą tego, co muszę powiedzieć, przerywają po jednym lub dwóch dzbanach wody, którą niemal w całości wymiotuję. Później Purpurowy Kaptur przystępuje do przesłuchania. Oczywiście przestrzega mnie wcześniej, że milczenie przyspieszy kolejną zachętę do mówienia.

Wcześniej przyznałam się do wszystkiego. Przyznałam się do zbyt wielu występków, więc zabieramy się do tego wszystkiego ciągle od początku.

Albo, jak oni to określają, „będziemy kontynuować”.

Moja niefortunna skłonność do wybuchania śmiechem w niewesołych przecież okolicznościach również wszystko przedłuża. Nie wolno nikogo torturować dwukrotnie w związku z tymi samymi zarzutami – takie jest prawo – ale tortury można przedłużać. Tak się właśnie dzieje w moim przypadku.

Mój ksiądz nie żyje. Nie żyje moja mama. Mimo to kaptury pragną zebrać materiał przeciwko nim. Przecież nigdy nie jest za późno na skazanie. We mnie zaś kryje się prawda: Purpurowy Kaptur z pewnością coś takiego podejrzewa. Stawia pytania. Na temat księdza: Czy kiedykolwiek zdradzał brak wiary w sakramenty? Czego doszukiwał się w studiowanych tekstach? Kogo jeszcze uczył? Na temat matki: Ile razy chodziła w ciąży? Co działo się z ciałami poronionych dzieci? Jakiej płci były martwe noworodki?

Choć aresztowano mnie przed ponad trzema laty, w przesłuchaniach biorę udział dopiero od końca ostatniej wiosny. Być może chodzi o przypadek urzędniczego opóźnienia. Więzienie jest przepełnione. Większość z nas umiera, zanim ktoś władny

przejrzy relację z aresztowania, zanim powstanie konkretny plan przesłuchania. Jednakże w moim przypadku wydaje się bardziej prawdopodobne, że pytania Purpurowego Kaptura są konsekwencją spraw, którymi żyją rezydenci królewskiego pałacu.

Dwór miota się w paroksyzmie obłędu. Czarownice znajduje się dosłownie wszędzie. Po zatonięciu „Bellavente” w ubiegłym roku u wybrzeży Malagi spalono dwadzieścia kobiet, mieszkanek tego portowego miasta, oczywiście bez żadnej rozprawy. Rozeszła się wieść, że powyrywano im serca, które następnie ugotowano oddzielnie w dużym kotle, podobno w tym samym, za pomocą którego zdaniem oskarżycieli wywołały fatalną w skutkach burzę. Owe dwadzieścia kobiet zginęło w odległości pięciuset kilometrów od Madrytu, gdzie nie dawniej niż w sierpniu król Carlos wygłosił oficjalne przemówienie. Drżąc, stał na królewskim balkonie od strony Plaza Mayor i czytał własne słowa spisane na pergaminie. „Na skutek działania czarów królowa María Luisa nadal nie jest brzemienna”, powiedział. Jego słowa brzmiały cicho. Jeden z dworzan musiał je za nim głośno powtarzać. Tłumnie zebrani ludzie przyglądali się swemu królowi w dziwnym milczeniu. Po obwieszczeniu wszyscy rozpierzchli się bez wiwatów i innych zwyczajowych oznak entuzjazmu. Nie było odgłosów zgromadzeń, które w podobnych wypadkach przenikają w dół uliczek, póki nie zaszczekają więzienne zamki i nie zaskrzypią zawiasy.

Następnego dnia okazało się, że w królewskiej rezydencji znajdowało schronienie siedemnaście czarownic. Bezwłocznie poprowadzono je na przesłuchanie. Należało wyjaśnić, dlaczego królową omijał dotąd błogosławiony stan. Dokonano przeglądu wszystkich zatrudnionych w pałacu od dnia przyścia na świat króla Carlosa do dnia obecnego. Między nimi była również moja matka. Właśnie wówczas przeniesiono mnie do jednej z cel przeznaczonych specjalnie dla czarownic, które zagrażały królewskiej rodzinie. Uczyniono to ze względu na pokrewieństwo. Ponieważ moje występkę były raczej drobne, a powiązania matki z dworem

niezwykle bliskie i znaczące, mój przypadek potraktowano jako szczególny. Obecnie zajmuję celę pomiędzy tłumaczką i sekretarką królowej: powiększam szereg groźnych dam dworu, niebezpiecznie spiskujących karlic, praczek, których mydło przenosiło diabelską moc, pokojówek, z których piersi sączyły się uroki. Och, doprawdy, każda dziedzina związana z obsługą króla i królowej ma swą przedstawicielkę w tych ekskluzywnych kwaterach.

\* \* \*

Niewykluczone, że tamtej ostatniej nocy okaleczony, cichy koń inkwizytora rzeczywiście zatrzymał się na ulicy za oknem. Być może owinięte w szmaty koła zwolniły i niemal bezgłośnie stanęły na jedynej wybrukowanej uliczce mojego miasteczka, tej samej, przy której mieszkał mój nauczyciel. Być może tamtej nocy, kiedy wróciłam do niego wbrew wszelkim ostrzeżeniom i kiedy pozwoliliśmy, by świeczka płonęła o moment za długo... No właśnie, co ze świeczką? Nie istniało żadne prawo zabraniające palenia światła. Poza tym on studiował księgi całymi nocami. A jednak mogło się przecież zdarzyć, że ktoś mnie dostrzegł albo tylko usłyszał mój mało ortodoksyjny katechizm. Stanął pod oknem, tak samo jak ja kiedyś stałam, czekając na odgłos pióra albo szelest odwracanej kartki.

Czy bałam się odkrycia naszej tajemnicy, gdy byłam z moim nauczycielem? Tak. Ale strach tylko mnie bardziej rozpałał.

\* \* \*

Po powrocie z przesłuchania odzyskuję przytomność, by stać się świadkiem poruszenia wśród strażników. Słyszę imię królowej i obrzydliwy śmiech. Coś się dzieje w świecie ponad

moją głowę. Tylko co? Kucam przy kracie. Ktoś czegoś się dowiedział. Ktoś pragnął podzielić się wiadomościami.

Nie pozwala się nam tutaj rozmawiać. Mamy pozamykane usta, przynajmniej niektóre z nas. Stalowe pręty, sięgające od szczęki do obojczyka, powstrzymują piękne kobiety przed otwieraniem ust. Inkwizytorom wydaje się, że dzięki temu nie możemy sobie przekazywać heretyckich myśli. Trudno napić się z zamkniętymi ustami – trzeba zanurzyć głowę w wiadrze i wciągać wodę. Kawałki chleba należy wpychać sobie do ust palcem, a gdy staną się wilgotne i zmiękną, wsysać je przez zęby, jeśli któraś jeszcze je ma. Fałszywie świadczącym i niepoprawnym bluźniercom obcięto języki, co naturalnie wyklucza ssanie i pojękiwanie. Mimo wszystko pogłoski się rozchodzą.

Wiadomości przekazujemy, wodząc palcem na tablicy z otwartej dłoni. Te z nas, które znają litery – a jak na czarownice więzione na najniższym poziomie katakumb tworzymy wcale wykształcone towarzystwo – pocieszają się bezgłośnie rozmową, posługując się palcami. Czasem pochwycenie drżącej dłoni wystarcza do przekazania pewnych wieści: pozdrowienia, pożegnania.

Kiedy strażnicy odchodzą, zabierając ze sobą jedyną lampę, ostrożny szept tych więźniarek, które są przytomne i świadome, powoli ustępuje szmerowi plotek i domysłów. Nie może być prawdą, jakoby María Luisa ośmielała się udawać następne poronienie. W tym gronie nie jest tajemnicą, że póki jej postępki nie został odkryty, królowa w ciągu ostatnich dwóch lat kilkakrotnie udawała, że jest w ciąży. Czy istnieje jakiś lepszy sposób stwarzania pozorów, że się wypełnia jedyny obowiązek przynależny jej pozycji? Niewykonalne zadanie żony króla, o którego impotencji nie wolno nawet wspomnieć? Królowa, która nie może donosić dziecka, znajduje się w znacznie bezpieczniejszej sytuacji niż królowa, która jest bezpłodna.

Udawane poronienie. Na coś takiego nie mogła się poważyć osoba tchórzliwa, inaczej nie umiem tego sobie wyobrazić.

Błądym świtem, nim wstał pomocnik kucharza, by zagotować wodę, nim obudził młodą pomywaczkę (szarpiąc ją za uszy, jeśli nie podnosiła się dość szybko, i napędzając jej takiego strachu, że wybiegała na zewnątrz i wybierała kurom jajka, zanim jeszcze rozartała piekące miejsce i zdążyła pomyśleć: Oj, ty podły berkarcie!) – tak jest, zanim ktokolwiek w ogóle się poruszył, jakiś tajemniczy sprzymierzeniec królowej przemycił świńską krew z kuchni do królewskiej komnaty. Lojalny, chociaż na pewno okropnie przestraszony współnik – ten sam, który w poprzednich miesiącach dyskretnie pomagał królowej pozbyć się świadectw comiesięcznej niedyspozycji, usuwał krwawe ślady jednego rodzaju i zarazem przygotowywał się do ujawnienia innych – już wcześniej przy kilku okazjach pomagał królowej plamić świńską krwią jej koszulę nocną, pościel, wstydlive części ciała, misę, podłogę przy łóżku. Przyjaciel zniknął, a królowa wołała swoje pokojówki. Krzyczała tak głośno, że natychmiast wzywano lekarza. Królowa zanosila się od płaczu, szlochała; zła nowina wydostała się na zewnątrz, a dzwony obwieszczały kolejną utratę spadkobiercy królestwa.

Zwilżam usta i opieram głowę o chłodną ścianę; sięgam ręką, by sprawdzić, ile włosów mi jeszcze zostało. Ostrzyżono mnie prawie przed tygodniem. Nieprzyjemna sprawa: dwa rozcięcia na karku i następne na skroni miały upewnić moich oprawców, że pod włosami nie znajdują się żadne diabelskie napisy. Można się jednak doszukać pewnych dobrych stron całej tej sytuacji. Chociaż z pewnością nie było to intencją moich prześladowców, ich rutynowe postępowanie przynosi osobliwą korzyść: podług długości odrostów mogę odmierzać upływ czasu. Na dodatek dla najbardziej dokuczliwego robactwa nie jestem obiektem szczególnie atrakcyjnym – właśnie z powodu ostrzyżonej głowy. Oczywiście jestem wdzięczna losowi za wszystko. Przebywam w miejscu, gdzie nie muszę wybierać i mogę się cieszyć ze wszystkiego. Cieszę się, że jestem drobna, ponieważ

nie potrzebuję dużo jedzenia i kiedy siadam prosto, mam dość przestrzeni na wyciągnięcie nóg.

Ciemność również ma zalety. Nieprzenikniony, intensywny mrok jest najlepszym sprzymierzeńcem marzeń. Przecież mrok wcale nie oznacza pustki, o nie. Sprawdźcie to przy okazji. Zamknijcie oczy albo skryjcie się przed słońcem, a najlepiej znajdźcie miejsce pozbawione wszelkiego światła.

Wówczas mrok zaludni się w mig.

**K**rólowa jest moją rówieśniczką, ma dokładnie tyle samo lat co ja: María Luisa, czyli Marie Louise de Bourbon, księżniczka rodem z Paryża, królowa Hiszpanii. Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, była niczym wizja z przeszłości, z czasów, gdy jeszcze wierzyliśmy w dostatek i powodzenie rodziny Luarca. Identycznie jak w moich marzeniach królowa miała na sobie suknię z najdelikatniejszego, przejrzystego jedwabiu – mnóstwo jedwabiu, jedwabne fale, jedwabne warstwy, jedwabne hałeczki, pantalony, pończochy, pantofelki, wszystko, co mieściło się pod jedwabną spódnicą, obszerną niczym namiot poniżej wąskiej jak młode drzewko talii. Była wysoka, o całą głowę wyższa od króla Carlosa.

Stała w oddali, a mnie wydawało się, że mam przed sobą rezultat pracy stu tysięcy jedwabników. Zobaczyłam liście wszystkich naszych drzewek drżących na wietrze; słyszałam odgłosy przeżuwania wydawane przez nasze gąsienice, odgłosy silne jak potężny sztorm. Tamtego lata nie spadła ani jedna kropla deszczu, ale przez kilka tygodni poprzedzających uroczystości ślubne padało niemal bez przerwy, trwała jesienna ulewa, która zmyła kurz z naszego jedyne go szklanego okna.

Pierwsze wiadomości, które dotarły do nas z pałacu, dotyczyły właśnie Marii. *Francisco* – rozpoczynało się zdanie prawie na samym dole listu od mojej matki, która wtedy potrafiła już i czytać, i pisać – *książę Carlos jest zaręczony z małą dziewczynką,*

z prawdziwą francuską księżniczką. Ona jest bratanicą króla Ludwika. Nazywa się *María* i ma dokładnie tyle samo lat co ty, moja córko. Dokładnie. Urodziłyście się tego samego roku, tego samego miesiąca i tego samego dnia.

Sami nie umieliśmy odczytać listów, które mama nam przysyłała – nie poznałam jeszcze mojego nauczyciela – musieliśmy więc prosić kogoś obcego, aby nam je przeczytał. Najczęściej właściciela gospody, który czytał, jękając się przy tym tak bardzo, że odgadywałam większość słów, zanim przeszły mu przez gardło. Czasem tego zadania podejmowała się żona szynkarza, ale ta czytała jeszcze wolniej.

*Pamiętasz może, co zwykł mawiać twój dziadek?* – tak rozpoczął się inny list. – *Że jedynie kotu wolno patrzeć na królową. I oto stało się: ja jestem tutaj i opowiem ci o wszystkim, co zobaczę w pałacu.*

Zatem matka wypełniała mi głowę szczegółami o dworze, księciu Carlosie i jego matce. O karłach, strojach, kłótniach i zdradach. Sądziłam, że mama opisuje świat, którego sama na własne oczy nigdy nie ujrzę. Ale czas upływał, a los szykował nam swoje niespodzianki. Pewnego dnia znalazłam się w pobliżu księżniczki, o której pisała mi mama – kobiety odwiedzającej mnie wówczas w snach i marzeniach.

Przed dziesięciu laty miałam lat osiemnaście; przed dziesięciu laty ona miała lat osiemnaście; i przed dziesięciu laty *María* wyszła za mąż w Quintanapalli, w moim rodzinnym miasteczku.

Marie Louise de Bourbon. Czarownica. Ladacznica. Święta. Obca. Ta sama dziewczyna, o której powstał szyderczy wierszyk. Tłum powitał ją, wykrzykując przesiąknięte złośliwością rymy, gdy pierwszy raz przybyła do Madrytu. Nadal je wykrzykuje, tyle że głośniej. Tak głośno, że kamienne mury naszego więzienia odbijają echem te drwiny. Tak głośno, że ostatnio królowa zaczęła jeździć powozem skulona, zatykając przy tym uszy.

*Parid, bella flor de lis*  
*Que, en aflicción tan extrana,*  
*Si paris, paris a España,*  
*Si no paris, a Paris.*

Nowa królowa nie rozumiała słów, którymi posługiwał się tłum, gdy rankiem w dniu jej przybycia powóz toczył się wolno przez bramy pałacu. Nie mogła ich zrozumieć, ponieważ nie mówiła po hiszpańsku.

Pewien głupiec pokonał zaporę i uczepił się powozu, który królowa dzieliła z tłumaczką, powozu jadącego za karetą Carlosa; królowi towarzyszył spowiednik. Ów mężczyzna przytrzymał się bocznej lampy i zajrzał przez szybę do środka.

– *Parid! Bella flor!* – zdążył syknąć, nim zabił go jeden z żołnierzy, a z jego ust zamiast następnego wersu popłynęła krew.

*María* potrząsnęła spoconą i zimną ręką tłumaczki.

– *Comment! Comment!* – rozkazała. – Co oni wykrzykują?

Obca królowa ścisnęła palce dziewczyny, kalecząc je pierścieniami.

Tłumaczka najpierw się zawahała, następnie zaś wyjaśniła. *Parir* znaczy tyle, co rodzić. *Paris* to nie tylko nazwa pierwszego miasta Europy, rodzinnego miasta królowej, miasta jej szczęścia. To również druga osoba liczby pojedynczej od słowa *parir*. *Parid* to tryb rozkazujący: urodź.

Tłumaczka przygryzła wargi, łzy napłynęły jej do oczu. Jeszcze przed miesiącem wiodła spokojny żywot w klasztorze, nieświadoma, jakże błogi jest spokój przy przepisywaniu świętych manuskryptów. Nad jej czołem krótko przyszytych brązowych włosów nadal jeszcze przylegały do głowy, ponieważ zbyt długo przyciskał je do niej czarny kornet.

*Parid*, piękna królowo. Daj nowe życie!

Męskiego potomka, sukcesora, oto czego żądał cały kraj. I żąda tego również teraz. Następcy tronu, zdrowego mężczyzny,



który będzie miał dość inteligencji i woli, by zapanować nad ministrami, hidalgami, grandami i biskupami, dzień po dniu odbierającymi coraz więcej władzy spragnionemu narodzin syna królowi Carlosowi. Do dnia swego ślubu ów mężczyzna, będący niemal rówieśnikiem panny młodej, zdążył zaprzepaścić wiele z odziedziczonego bogactwa i osłabić wojsko. Z miesiąca na miesiąc tracił terytoria na rzecz Francji, Holandii, ustępował przed barbarzyńcami w koloniach. Aby ocalić Hiszpanię, następcą Carlosa musiał pojawić się szybko i równie szybko przejąć władzę – nim skończyłyby lat dwadzieścia, a choćby nawet dziesięć. Musiał być cudownym dzieckiem, kimś w rodzaju mesjasza.

Zatem od samego początku królowa María Luisa wiedziała, czego się od niej oczekuje.

Marię Luisę zobaczyłam o poranku w dniu jej ślubu. Nad jej koroną widziałam nasz uśpiony gaj nieudanych morwowych drzewek, sterczących uparcie na tle nieba. Patrząc na nią, przypomniałam sobie sylwetkę matki, która stawała się coraz mniejsza i mniejsza, gdy oddalała się w kierunku powozu z królewskimi insygniami na drzewczkach.

„Uciekaj” – szepnęłam. Stała przed biskupem, obok króla Carlosa. Po chwili miało być już za późno, miała wyjść za niego, za człowieka, który odebrał życie mojej matce. „Uciekaj do lasu, ukryj się tam pośród drzew! Przybędę i cię odnajdę” – obiecałam. „Przyniosę ci zwykły płaszcz z wełny. Wezmę rzeczy, które mogłyby cię zdradzić. Spalę tę jedwabną sukienkę”. Ale oczywiście María Luisa nie mogła mnie słyszeć. W takim stroju żadna kobieta nie uciekłaby daleko.

Na ślubnym kobiercu stawali: don Carlos José, príncipe de las Españas – Carlos Segundo albo, jak go nazywano w próbie wyjaśnienia jego życiowych niepowodzeń, El Hechizado, czyli Zauroczony – i Marie Louise de Bourbon. Francuska księżniczka stawała się hiszpańską królową, a Marie Louise de Bourbon Marią Luisą. Ale zmienić się miało o wiele więcej niż tylko jej

imię. Przemiana objawiła się przede wszystkim w podniesieniu wysokości kołnierzyka sukni o jakieś dziesięć cali, od piersi w stronę szyi, od tych gorących wzgórków, które pojawiły się tak niedawno, wyrosły ze staniczka niczym ciasto na pączki, słodkie i pachnące, a teraz zostały zduszone i wyglądały jak przasany chleb pokutników. Została zmuszona do przyjęcia także innych zmian. Jedna z nich wiązała się z koniecznością poskromienia jej czarnych loków.

„Diabeł wczepia się w długie włosy kobiety” – oświadczyła matka Carlosa, Marianna. I postarała się, aby wszystkie spirale i loczki zostały usunięte.

Nigdy w życiu nikt nie próbował prostować jej włosów. Przeciwnie, codziennie przed udaniem się na spoczynek nakręcano je na sto papierowych zwitków, dlatego noc spędzona w łóżku była męczarnią znoszona dla urody. A jakże, we Francji fryzura Marie Louise przypominała katarakty, płynącą wodę, kojarzyła się z pieśnią Owidiusza o Aretuzie, która zamieniła się w źródelko, nim dopadł jej Alfejos. „Ciemne krople spadają deszczem z jej ciała” – powiedział wielki poeta. Och tak, María Luisa miała włosy jak żadna inna księżniczka. Na ślub przystrojono je złotymi wstążkami, perłami, girlandami i spinkami z szylkretu. Na ślub jej włosy zaczesano do tyłu tak mocno, że oczy królowej zalśniły jak klejnoty.

Osiemnastoletnia María marzyła o Hiszpanii, marzyła o tym kraju od lat, podobnie jak ja śniłam o Francji i o niej. María została narzeczoną Carlosa, kiedy miała pięć lat, a nasze gąsienice jeszcze żyły, pożerały morwowe liście i przędły. Pracowały dla księżniczek. Szykowały jedwab na stroje. Obszerne i wielowarstwowe suknie z jedwabiu gęsto poprzetykanego brokatem i zdobionego szlachetnymi kamieniami. Ubrana w jedną z nich, kobieta musiała mieć i siłę, i wprawę, by się nie przewrócić.

Marie zostawiła w Paryżu matkę, ojca, brata i wyruszyła wraz z pokojówkami oraz sześcioma posłami, by rozpocząć

nowe życie. Prawie całą porę roku trwała jej podróż z Francji do Kastylji. Trwała tak długo, ponieważ Marie się nie spieszyła. Dopóki pogoda była znośna, podróżowała na końskim grzbiecie, cwałując w pobliżu powozów z posłami i pannami służebnymi. Na końskim grzbiecie zataczała kręgi, znaczyła spirale, badała zagłębienia i stawy na płaskich terenach otaczających Paryż; meandrami posuwała się na południe, gdzie krajobraz przechodził w pagórkowate i góryste winnice, gdzie wiatr potrząsał liśćmi winorośli i zamieniał Francję w rozkołysane, potężne, zielone morze. Marie Louise jechała w ten sposób, póki deszcz nie ustąpił mokremu śniegowi, póki dwa miesiące po opuszczeniu Paryża trzy powozy nie dotarły do granicy między Francją a Hiszpanią, granicy na niewielkiej rzece Bidassoa.

W maleńkim porcie rzeczonym miasteczka Orhy czekał na księżniczkę prom, płaska niebieska łódź z nowym czerwono-białym baldachimem. W każdym z czterech narożników łopotały flagi Francji i Hiszpanii. Jeden z trzydziestu siedmiu gapiów zebranych w porcie wskazał palcem na Marie Louise i powiedział do siedzącego na jego ramionach dziecka: „Spójrz! Teraz będziesz mógł opowiedzieć swoim wnukom, że widziałeś królową Hiszpanii”.

Prom poruszał się między francuskim a hiszpańskim brzegiem za pomocą lin nawijanych przez woły na ogromne szpule. Marie Louise, panny służebne i posłańcy wsiedli na pokład łodzi. Z przerażającym skrzypieniem mechanizmu prom zaczął pokonywać spieniony nurt rzeki. Fala była wysoka, wiatr ostry, a łódź stawiała linom silny opór. Kiedy dotarła mniej więcej do połowy drogi, jeden z wołów kopnął drugiego. Nastąpiła cała seria ryków zwierząt i krzyków nadzorczy, który próbował rozdzielić i uspokoić rozwścieczone bestie. W trakcie tej walki drżały liny. Prom zatrzymał się pośrodku rzeki i unosił przez prawie godzinę na neutralnym terytorium wód granicznych. Radość, jaką księżniczka odczuła z powodu owej przypadkowej godziny

zwłoki, była tak wielka, że pierwszy raz po opuszczeniu starego domu Marie zmuszona była przyznać przed sobą, że się boi. Cóż naprawdę wiedziała o Hiszpanii, o Carlosie? O wypełnianiu funkcji królowej? Na wodzie panował chłód, ale mimo wszystko strużka zimnego potu spływała ze strachu po plecach francuskiej księżniczki.

Zbyt szybko rozplątano liny i zastąpiono zdenerwowane zwierzęta wypoczętymi. Łódź ruszyła w dalszą drogę, mechanizm wydawał pisk, przy którym żadna rozmowa nie była możliwa. Jedna z panien służebnych, która podczas podróży powozem narzekała bez przerwy na ból głowy, na łodzi poczuła się jeszcze gorzej. Zwymiotowała za drewnianą barierkę całą zawartość żołądka, aż w końcu zaczęła zwracać jedynie srebrzysty śluz, który opadł na wodę porwany wiatrem. Kiedy wreszcie prom dotarł do hiszpańskiego brzegu, dziewczyna wysiadła na ląd przed Marią. Zbiegła z łodzi, gwałcąc skandalicznie zasady etykiety i międzypaństwowe ustalenia, postanowiono bowiem i zapisano w kontrakcie, że francuska świta będzie towarzyszyła swej księżniczce jedynie do granicy: nie miała prawa stanąć na hiszpańskiej ziemi.

– Natychmiast wracaj na pokład! – niemal unisono zawołali posłańcy, a biedną szlochającą dziewczynę wciągnięto z powrotem na prom, gdzie upadła na kolana i prawie natychmiast znowu dostała torsji.

– Mamo, mamusiu! – wołała żałośnie. Maria również zaczęła płakać. Nie płakała z powodu stanu dziewczyny, wzruszyło ją rozpaczliwe wzywanie nieobecnej matki.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa – jeszcze w Paryżu powiedziała Marii matka, a lży zmywały puder z jej policzków – już nigdy na tym świecie nie będziemy mogły się uściskać. Potem padły sobie w objęcia, przytuliły się do siebie mocno, tak mocno, że pękł jeden z fiszbinowych prętów, i nagle zaczęły się śmiać.

Młodziutka królowa Hiszpanii María Luisa, czyli Marie Louise de Bourbon, bratanica Króla Słońce Ludwika XIV, tęskni za domem, słońcem i kwitnącymi w Wersalu drzewkami pomarańczowymi, wśród których się wychowała.

Oskarżona o czary Francisca de Luarca, córka zbankrutowanego hodowcy jedwabników, w lochach Madrytu wspomina drzewka morwowe, które przez lata były największym skarbem jej rodziny.

**Urodziły się tego samego dnia – 4 lutego 1662 roku – a o ich życiu, przerwanych nagle niczym jedwabna nić, zadecydowały okrutne czasy Inkwizycji.**

Jak drogocenna złocista nić błyszczą losy najpiękniejszej królowej świata, Francuzki znienawidzonej przez Hiszpanów, bo nie dała dziecka ich władcy – dziedzinniałemu, nieudacznemu, wręcz karykaturalnemu Carlosowi II.

Barwna, mieniąca się kolorami nitka Franciski to codzienne życie w małym kastylijskim miasteczku terroryzowanym – jak cała Hiszpania – przez „urzędników Boga”. Zakazana miłość. I najwyższa kara, jaką przyjdzie za nią zapłacić.

**Intrygi, kłamstwa i zdrady. Czary, gusła, przesady i zabobony. Odpusty i nowi święci.**

**Ta powieść urzeka jak najpiękniejszy jedwab, który dodawał urody kruczoczarnej Marii Luisie, i kusi jak jego skrawki wszyte w bieliznę Franciski, której – jak wszystkim hodowcom jedwabników – nie wolno było nawet marzyć o jedwabiu.**

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788364 700774

cena 39,90 zł